

Komentarz do komentarza

W *Komentarzu* prof. Białasa do wystąpienia prof. Jana Woleńskiego w sprawie klasyfikacji wydawnictw (PAUza 457) pojawiły się, co dość rzadkie i cenne, konkretne propozycje. Cenne, bo łatwiej coś skrytykować, niż cokolwiek zaproponować. Z wieloma propozycjami wypada się w pełni zgodzić, ale warto może rozważyć uszczegółowienie lub jakąś zmianę niektórych z nich.

Po pierwsze – wydawnictwa aspirujące do nazwy naukowych muszą, co oczywiste, uwzględniać recenzowanie książek, najlepiej przez 2 (w przypadkach wątpliwych 2+) recenzentów. Pytanie, czy warunek ten miałby dotyczyć istniejących już wydawnictw (czy, jeśli do tej pory wystarczała jedna recenzja, z góry je skreślać?), czy też, ewentualnie, nowo powstających i tych, które zostaną poinformowane o takim obowiązku i zastosują się o niego (oznacza to dodatkowe koszty). Myślę, że najsensowniej byłoby przyjąć, że od jakiegoś momentu będą obowiązywać 2 recenzje (chyba, że jedną ministerstwo uzna za wystarczającą). Osobna sprawa to ranga osoby recenzującej, ale tego zadekretować się nie da. Każdy szanujący się autor zapewne będzie dążył do uzyskania jak najwnikliwszej recenzji prawdziwego specjalisty, a nie kogokolwiek, ale to inna sprawa. Pytanie, kto i jak miałby weryfikować to, kto, jak i dlaczego recenzował daną pozycję: znane są przecież fakty książek pozytywnie recenzowanych, a będących już nie bublami, ale skandalicznymi nadużyciami (pseudo)naukowymi... Pewnie zdarzają się też recenzje niechętnie z powodów pozamerytorycznych – ani jednych, ani drugich nie piszą na pewno uczciwi badacze. Osobiście i badawczo uczciwi.

Po wtóre – zgoda na to, żeby lista wydawnictw nie miała charakteru *numerus clausus* ani jak idzie o ich liczbę, ani o charakter (powinien być otwarty). Wykluczyć należałoby jedynie wydawnictwa – efemerydy, „rodzinne” (powstałe w celu opublikowania konkretnej pozycji) itp. Pewien problem stanowić może to, na jakich zasadach mogłyby powstawać i działać nowe wydawnictwa (tego też chyba nie trzeba wykluczać), które chciałyby (w przyszłości?) aspirować do grupy wydawnictw naukowych.

Po trzecie – też sądzę, że kandydatów na listę ministerialną powinny móc wskazywać zarówno uczelnie oraz instytuty naukowe jak i same wydawnictwa. Oczywiście wnioski winien zawierać poważną argumentację

merytoryczną dotyczącą wskazywanego wydawnictwa, tak, żeby ułatwić i uzasadnić wciągnięcie go na listę. Bez względu na to, kto je wskazał, należałoby jednak dokonywać (okresowo?) jakiejś weryfikacji działalności tych zaakceptowanych wydawnictw. Wydanie przez dane wydawnictwo ewidentnego buba naukowego bądź naukowej bzdury powinno być ostrzeżeniem dla wszystkich stron, a w przypadku recydywy skutkować skreśleniem go z listy wydawnictw naukowych.

Po czwarte – „stratyfikację” tak postrzeganych wydawnictw (na 2, 3, n poziomów) uznaję, wraz z prof. Białasem, za absurd. To jest ta nieszczęsna zasada „dziedziczenia prestiżu”, czy też – oby nie – hańby, która powodowałaby, że doskonała pozycja pracowałaby na rzecz słabszej (punktoza), bądź odwrotnie, słaba – w pewnym sensie deprecjonowała późniejszą wybitną. Nie ma rady – lepiej ustalić jednolite punktowanie książek, a od wydawnictw i autorów niech zależy budowanie własnego i cudzego prestiżu na ich podstawie.

Po piąte wreszcie – kwestia monografii (cokolwiek to znaczy dla decydentów – jak rozumiem, po prostu książkę jednego autorstwa) i prac zbiorowych. Nie obrażam siebie, żeby w humanistyce akceptować fakt, że wspólna publikacja miałaby oznaczać 0 punktów dla każdego z autorów! W dziedzinach ścisłych wspólne prowadzenie badań jest uznawane za naturalne, a nierzadko nagradzane (nawet, gdy jeden tekst opublikuje kilkunastu autorów!). Humanisci nie mają laboratoriów ani nie prowadzą prac doświadczalnych, na ogół pracują każdy dla siebie. Tym cenniejsze są publikacje wspólne, na określony temat (nie „zbiorówki” atematyczne), rozwijające myślenie oraz, niekiedy, interdyscyplinarność, bo oznaczają rezultat tak rzadkiej wśród humanistów współpracy naukowo-publikacyjnej!

I na koniec – nie można powiedzieć, żeby deprecjonowanie krótszych form (artykułów w książce) na rzecz monografii – niekiedy sztucznie rozdętej – było słuszne. Czasem krótki tekst (nawet w humanistyce!) uruchamia całą lawinę publikacji, nie zawsze zresztą powołujących się nań – a niekiedy książka (monografia) umiera zaraz po ukazaniu się. A wreszcie kwestia tego, jak wyławiać pozycje wybitne, jest nierozstrzygalna w sposób formalny. To sprawa środowiska, nie zaś jakichkolwiek uregulowań.

MARIA KORYTOWSKA

Uniwersytet Jagielloński